TYGODNIK POWIEŚCI.

Nr. 6. POZNAŃ, 9go Listopada 1878 roku. Rok I.

Prenumerata w Poznaniu i na Prowincyi rocznie 8 marek — półrocznie 4 marki — kwartalnie 2 marki.

Wychodzi co Sobotę w objętości 1 — 1½ arkusza.

W Galicyi wynosi prenumerata kwartalnie 1 złr. 25 cent.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie i urzędy pocztowe.

Koleje życia.

Powieść

T. T. JEŻA.

(Ciąg dalszy).

— Chcesz więc kalkulacyi. Będziesz ją miał w kilku wyrazach. W pierwszym roku po śmierci twego ojca nic na ciebie nie wydałem, w drugim także nic w trzecim za 600 złp. rocznie przyjąłem nauczyciela do ciebie i dwóch moich synów, więc na twoją część przypada 200 złp., w czwartym także, w piątym przyjąłem innego nauczyciela za 900 złp., więc na twoją część przypada 300 złp.; w szóstym także, w siódmym oddałem ciebie do szkół, gdzie corocznie kosztowałeś *plus minus* po 800 złp. aż do czwartéj klassy włącznie, a od czwartéj klassy posyłałem ci regularnie po 1003 złp. i 10 groszy.

Mówiąc to, doktór pisał cyfrę jednę pod drugą, i skończywszy dodał. Następnie cyfrę 1003 złp. i 10 gr. pomnożył na szesnaście. Summę otrzymaną z dodawania odciągnął od iloczynu otrzymanego z mnożenia i wymówił głośno:

— 5833 złotych i groszy 10. Tyle się tobie odemnie należy. Sprawdź, możem się omylił.

— Jestem pewny, że się stryj nie omylił w tym rachunku, odparł Edward z przyciskiem na ostatnie wyrazy. Lecz ja proszę stryja o rachunek porządny, o kalkulacyą z procentów od tych summek, które w ręku stryja pozostawały.

Na te wyrazy doktór zpąsowiał od uderzenia krwi do głowy i na miejscu szybko obrócił się z krzesłem od biórka twarzą do siedzącego na kanapie Edwarda, a obróciwszy się, zapytał:

— Co?!

Edward trochę zbladł i zimnym chociaż drżącym nieco głosem powtórzył pomału a dobitnie:

— Proszę stryja o rachunek porządny, o kalkulacyą z procentów od summek, które przez lat dziesięć co roku w ręku stryja zostawały.

Doktór milczał, tylko szeroko otwartemi oczami patrzał na synowca. Krew mu powoli z twarzy ustępowała. Edward ciągnął daléj:

— Mnie się zdaje, szanowny stryju, że żądanie moje jest słusznem.

— Najzupełniéj — odparł doktór, ochłonąwszy z pierwszego wzruszenia; tylko to bieda, że ja mu zadość uczynić nie mogę. Ja ani moich, ani twoich pieniędzy nie dawałem na procenta i nie przewidziałem, że mi takie postawisz żądanie.

— Pozwoli stryj powiedzieć sobie, że mi do tego nic. . .

Znów doktorowi krew do głowy podpłynęła. Tym razem nie czekał już na ochłonieńcie.

— Oddam ci 5833 złp. i gr. 10, rzekł gniewnie. Dam ci poświadczenie, żeś pełnoletni. Odbieraj sobie kapitał. Więcéj nie dostaniesz ani grosza.

Doktór mógł na rachunek procentów policzyć te wydatki, jakie ponosił na karmienie, odziewanie i trzymanie w swoim domu pupila; lecz mu to ani przez myśl przeszło. Należał bowiem do tych lekarzy, co to pewnéj kategoryi chorym dają konsultacyą, piszą *gratis* recepty i do recept dokładają na lekarstwa i rosołek z kury.

Edward, po usłyszeniu ostatnich doktora wyrazów, wstał i lodowym powiedział głosem:

— Bardzo mi przykro, że rzecz taki wzięła obrót.

Oświadczam stryjowi stanowczo, że podobnego rachunku nie przyjmuję. Zmuszony jestem upomnieć się o kalkulacyą drogą prawa.

— To się upominaj, błaźnie! burknął doktór.

W téj chwili zdesperowana a obdarta jakaś żydówka wpadła do kancelaryi, wołając z płaczem o ratunek dla dziecka. Doktór ją wykpał, napędził i natychmiast za nią do jéj dziecka pospieszył, zostawiając Edwarda bez pożegnania.

Dochodziła siódma. Edward w pogotowiu do podróży, otoczony całą doktora rodziną, wyszedł na ganek. Stryjenka, siostry i bracia napróżno błagali go i zaklinali, ażeby się jeszcze choć do obiadu zatrzymał. Na wszystkie zaklęcia jednę miał odpowiedź:

— Nie mogę.

— Ale wrócisz, Edwardku? pytały siostry.

Na zapytanie to odpowiadał:

— Nie wiem, wątpię.

Doktora nie było. Obchodził właśnie tych chorych, którym dawał recepty, na recepty i na rosołki. Stryjenka i siostry prosiły go, ażeby na powrót jego zaczekał. Edward odpowiadał:

— Nie mogę.

Pożegnał rodzeństwo, które go całem sercem do swego przybrało grona i odjechał.

Nie będę czytelnika nudził opisem kroków naszego bohatera na drodze prawa. Powiem więc krótko, że na trzeci dzień po jego odjeździe otrzymał doktór urzędowe zapozwanie do złożenia kalkulacyi z opieki. Ciekawym, czyby czytelnik odgadł, co z tem zapozwaniem zrobił. Prawie pewnym jestem, że dziewięć dziesiątych czytelników odpowiedziałoby: procesował się. Gdzie tam! Synowi, który chodził na matematykę, kazał sporządzić dokładne obrachowanie procentów; summę, jaka z tego obrachowania wypadła (ponieważ takowéj w całości w szkatule nie posiadał), dopełnił pożyczką zaciągniętą po 12 pct.; pojechał do powiatowego miasta, zaspokoił w całości pretensye Edwarda, i pobłogosławił go na drogę. Ostatnie wyrazy; jakie do synowca wymówił, były:

— Pamiętaj, że dom mój jest twoim domem. Jeżelibyś kiedyś zapragnął odetchnąć na łonie rodziny, przyjeżdżaj do mnie.

O zajściu, jakie z nim miał, nigdy nikomu ani wspomniał.

Edward w powiatowem mieście zabrawszy pieniądze i zakwitowawszy stryja, wziął pocztę i na perekładnych popędził.

VII.

Kamionki były rezydencyą prawdziwie królewską. Bo też i położenie odpowiadało temu. Na tle gór, bodących chmury śnieżystemi szczytami i ubierających w mech, bluszcze, we wianki krzewów i bukiety drzew, skaliste, połamane w tysiące różnych kształtów i podarte w przepaściste rozpadliny boki, wznosił się pałac, do postawienia i ozdobienia którego sztuka wszystkie rozwinęła zasoby. Za nim piętrzyły się góry, przed nim w dali rozlewało się morze. Od gór do morza spływały strumienie, które przepływając mimo pałacu formowały naturalne wodospady i sztuczne wodotryski, wyskakujące do góry kroplistemi kitami na tle ciemnéj zieleni pomarańczowych gajów. Za pałacem rozlegał się obszerny ogród, pełen światła i cienia i woni, altan i kiosków i posągów, ciemnych grot i lekkich mostków rzuconych łukami nad urwistemi brzegami potoku. Przed pałacem słał się kobiercem trawnik ustrojony w kląby, w których na wiosnę lubiły śpiewać słowiki. Sam zaś budynek miał pozór włoski: dach płaski z baryerą i terrasą, fronton podłużny ozdobiony w płaskorzeźbę, kolumnada z przodu i z tyłu, wiszące balkony, duże okna, białe ściany, marmurowe schody z połamaną w ustępy balustradą, a na każdym ustępie posąg jednego z nagich mitologicznych bóstw. Całą tę rozkoszną rezydencyą otaczała niziutka baryera a prowadziła do niéj pomnikowym sposobem zbudowana brama, strzeżona przez dwa z czarnego marmuru sfinksy. Na grzbiety tych sfinksów kładły się szerokie liście kaktusów wyrastających z olbrzymich kamiennych wazonów. Powoje i bluszcze obwijały kolumny i pięły się po ścianach pałacu.

Piękne, rozkosznie, miękko, ciepło, chłodno i wonnie było w Kamionkach, położonych na południowem wybrzeżu Taurydkiego półwyspu. Wewnętrzne urządzenie pałacu odpowiadało jak najzupełniéj jego zewnętrzności. Rozkład apartamentów, umeblowanie i ozdoby, pod względem gustu i wszelkich wymysłów najwybredniejszéj wygody, nic do życzenia nie pozostawiały.

Ten to pałac wybrała Dyana na mieszkanie. Nie mogła lepszego zrobić wyboru. Był to ziemski raj i tylko jedną miał niedogodność, która trochę ambarasu w zajęciu go na mieszkanie przyczyniła. Kamionki były własnością nie Dyany a Endymiona. Z tego powodu potrzeba było z mężem przeprowadzić korrespondencyą, która jednakże nie ciągnęła się długo. Skończyło się na jednéj zamianie listów. Dyana pisała:

„Potrzebuję Kamionek dla ciszy i ustronia. W moich dobrach nie posiadam rezydencyi podobnéj, którąbym chętnie kupiła, gdyby była na sprzedaż. Jeżeli zaś nie jest na sprzedaż, to odwołuję się do praw matki pańskiego syna, dla wychowania głównie którego zamierzam usunąć się od światowych dystrakcyj. Wiem przytem, że pałac nie jest zamieszkany. To ośmiela mnie prosić pana o postawienie mi warunków, pod jakiemi mogłabym go zająć na nieokreślony termin.“

Endymion odpisał:

„Wielkiéj doznaję przyjemności, mogąc zadość uczynić żądaniu pani. Kamionki nie są na sprzedaż. Stanowią one wyjątek w moich dobrach, które wszystkie kolejno, sprzedają się przymusowym lub dobrowolnym sposobem. Rezerwowałem je sobie na starość, którą zamierzałem spędzić w cieniu pomarańczowych drzew. Lecz dla pani odstępuję od tego zamiaru. Mieszkaj pani

w téj ustroni, pod warunkiem pożyczenia mi na nią summy podwójnéj w stosunku do jéj wartości. Kamionki warte są siedmkroć pięćdziesiąt tysięcy; pożycz mi pani półtora miliona i bądź co do terminu spokojną. Mieszkaj za procenta póki ci długu nie wrócę, co nastąpi nie pierwéj, aż mój syn moje długi odziedziczy."

W *post-scriptum* następujący był dodatek:

„*A propos.* W pobliżu Kamionek mieszkają moje psy. Rezydencya ich stanowi także wyjątek w moich dobrach. Odwiedzam je niekiedy. Uprzedzam jednakże panią, że odwiedziny te nie będą zakłócały ciszy Kamionek. Nawzajem żądam, ażeby Kamionki nie zakłócały ciszy moich psów."

Na tem skończyła się korespondencya. Dyana dała plenipotentowi swemu rozkaz wypłacenia półtora miliona i załatwienia prawnych formalności, i przeniosła się z Odessy wprost do Kamionek. Nastąpiło to podczas podróży Edwarda do Snitek.

Przenosiny, chociażby najdalsze, najmniejszego takiéj wielkiéj pani nie sprawiają ambarasu. Cały ambaras na głowach sług. Dyana z synem tyle się tylko trudziła, że przejechała z miejsca na miejsce, przewieziona parowym statkiem do Teodozyi, a ztamtąd częścią w karecie, częścią w lektyce, częścią konno do Kamionek, gdzie wyprzedził ją o cały miesiąc intendent dworu i wszystko do najdrobniejszych szczegółów przygotował i urządził. Jéj pozostało tylko w urządzeniu niektóre nakazać zmiany, odnoszące się do nic nieznaczących drobiazgów. Przestawiono kilka mebli, przeniesiono z miejsca na miejsce pewne sprzęty i ozdoby i na tem koniec.

Dwór składał się z licznéj służby płci obojéj, mającéj za zadanie zaspakajanie w tem ustronnem miejscu wszelkich potrzeb przyzwyczajonéj do zbytków pani. Więc nie brakło ani sławnych w swoim fachu kuchmistrza i cukiernika, ani doskonałych strzelców, rybaków i ogrodników, ani dozorców i dozorczyń, bydła, owiec, drobiu, nierogacizny, ani piekarzy, krupiarzy i różnych rzemieślników, zatrudnionych przeważnie tą myślą, ażeby na stole pańskim nie wystąpiło nic takiego, coby godnem nie było podniebienia najwykwintniejszego smakosza. W tym względzie wielką pomocą była miejscowość, produkująca pomarańcze i ananasy pod otwartem niebem, dostarczająca w górach zwierzyny, w morzu ryb, omarów i muszli. Na czem zaś zbywało, to dowoziły wielbłądzie transporta, cyrkulujące regularnie pomiędzy Teodozyą a Kamionką. Konny tatar utrzymywał codzienną komunikacyą ze światem. Słowem: wszystko było z góry przewidziane i urządzone.

Rozkład pałacu składającego się z głównego budynku i dwóch pawilonów, dozwolił rozdzielić mieszkanie na trzy części. Środkową zajęła Dyana, w jednym pawilonie ulokował się Eliasz, drugi przeznaczony został dla Edwarda.

(C. d. n.)

Pamiętniki komedyanta.

P. Gyulaia.

(Z węgierskiego).

Teatr!... teatr!...

Wy nie wiecie co to teatr? — Ja tylko wiem — ja, który w nim żyłem, hulałem i cierpiałem.

Jakże też wymagać od was. Któż wy jesteście?

Przemądrzały studencie, który nigdy Sofoklesa nie miałeś w ręku, grabarzu, ukazujący się po katastrofie, gdy zasłona kończąca tragedyą spadła, stolarzu heblujący deski na scenę, nie wiesz zapewne, że tortury sporządzasz i jakież jeszcze tortury! — Płaczący śmiać się musi, płakać zaś ten, którego serce wezbrane radością, a publiczność przyklaskuje i śmieje się z błazna, który z za łez się śmieje i z błazna który płacze śmiejąc się z niéj. Dziewczyno mażąca się różem, a za pieniądze śmiejąca lub płacząca, jak każda inna dobra aktórka, nie możesz pojąć tego, że z twą twarzyczką mogłabyś niewinną, dziewiczą grać Julię. Gospodarzu, zabawiający w twym gościńcu ludzi winem i gładkiemi słowy, namawiający ich do wypróżnienia zapasu twego aż do kropli, jako jedynego skutecznego lekarstwa na zapomnienie toczącego nas robaka, nie wiesz zapewne, że istnieje inne jeszcze wino, które nas, skoro tylko ustami dotkniemy krawędzi czary, wprowadza w świat boski, w świat cudów.

Zarozumiały studencie, ponury kopaczu, brudny stolarzu, sprytny gospodarzu! — Piękna to historya w którą popadłem.

Ha! ha! ha! Ja, za którym możne panie szalały, ja w którym się prawie każde piękne dziewczę kochało, ja, który na poduszkach i koronach z róż sypiałem, zapa-

chem listów miłosnych się napawałem, panowałem nad ludźmi jak król, więcéj jak król, gdyż władałem ich uczuciami!... Ha! to było zapewne bardzo dawno — a może to nie było nigdy. Sam myślę czasami, że to było snem tylko. We śnie tym byłem obłąkany, a teraz nie mogę dojść, czy miałem chwile przytomne. I nie dziw. Świat zapomniał starego Dawida, tak jak stary Dawid zapomniał o świecie.

A jednak musimy się sobie przypomnieć. Los aktora nie równa się losowi wina, które z pokolenia w pokolenie przechowane zostaje, ażeby późniéj unoszono się nad niem. Równa się więcéj kwiatkowi, który po krótkiéj wiośnie przekwita, nie przeżywając nawet zapachu swego.

Prawdą jest, że żyję jeszcze, ale cóż to za życie! Czegóż te płócienne zasłony nie pokrywają! Jakiż to świat cudów nie wywołuje dzwonek suflera! Cóż to za przyjemność prześnić życie całe w myślach wielkich poetów. Los mnie odrzucił — role, które odgrywać miałem przydzielił innym, a mnie zostawił jedyną jednę, biednego Tomka „zimno biednemu Tomkowi, zimno!“

Może to lepiéj być tak zapomnianym, pogrzebanym. Nienawidzę świata. Przeklinam publiczność, ten tłum nie rozumiejący Szekspira, a przychodzący po to tylko do teatru, aby ładne zobaczyć aktorki. Przeklinam publiczność, która mnie mordercą nazwała za to, żem zabił Desdemonę, ach! gdyby ona była Desdemoną!

Wy wystarczacie mi, wy kochacie starego Dawida, bronicie mnie, gdy chłopaki uliczne błotem na mnie rzucają. Gdy jestem głodny, dajecie mi kawał chleba, gdy burza sroży się nad mą głową otwieracie mi drzwi waszéj chaty i do ognia przysiąść się pozwalacie, przy którym grzejąc się opowiadam wam o ciernistéj wędrówce mego życia.

Lud, który mnie zarzucał wieńcami i unosił pod obłoki nie pójdzie za moim pogrzebem, na moim grobie nie wzniesie się marmurowa kolumna, nad głową mą kobiety, które za mną szalały nie zasadzą polnego nawet kwiatka. — Może to lepiéj nawet! — Szum nie dałby mi zasnąć spokojnie, marmurowa kolumna ściskałaby serce moje, kwiaty szeptałyby o wiośnie, miłości i sławie. Niechcę tego, chcę zasnąć snem nieprzerwanym, bezmyślnym — na wieki!

Stolarzu zbij mi cztery deski na trumnę; ty zaś dziewczyno sporządź mi całun, weźcie mnie na barki i wynieście, przysypcie mi oczy, niech pamięć moja zostanie w waszym sercu. Gdy uliczniki nikogo mieć nie będą na kogoby ujadać się mogli, gdy burza rozszaleje a nikt do drzwi waszych nie zapuka, a w długich wieczorach nikt wam powiastek i smutnych historyi opowiadać nie będzie — westchniecie może: „Stary Dawid już spoczywa — niech światłość wiekuista świeci nad jego duszą!“

Mówią, że kobieta to bluszcz, biada kto się na nim oprze duszą całą, gdyż podstawa zbyt krucha by się na niéj oprzeć można, niewstrzyma i pociągnie ku przepaści. Tak się ze mną stało, czemuż byłem głupim.

Hola! dawajcie kielichy, napełnijcie je winem, światła, niech mi się kinkiety przypomną, pijcie, płaczcie, ja wam opowiadać będę.

Niech żyje przyjaźń!

Lecz siostry jéj, miłości, nie wymieniajcie. Popadam w szaleństwo wtedy i drzę z gniewu. Szekspir pisał Romea i Julię będąc szalonym. Petrarka był nędznym fantastą, a ja, ja jestem — komedyantem.

Chcecie poznać me życie?

Dobrze, opowiem wam! Dzisiaj mamy święto, pozwólcie więc, że wam smutne powiem kazanie. Nie rozpowiadajcie go daléj. Może jaki błądzący po gwiazdach długowłosy poeta, uznałby temat ten za stosowny do swego poematu, ubrałby go w wiersze, a tłum gotów zapłakać nad nim, jak płacze gdy na scenie widzi żebraka — z domu zaś go wypędzi i psami poszczuje. Ha, te łzy krokodyle! Jakże się ich lękam. Życie moje jest krótkie, smutne i treściwe jak napis grobowy. Kto je czyta, płacze i śmieje się zarazem. — Cóż to ja za głupstwa nie plotę. Życie moje jest to łatana tragedya, któréj autor okradł Szekspira, bo kochałem jak Romeo, — cierpiałem jak Otello, — błądziłem po wichrach i słocie, jak król Lir, a wszędzie ścigała mnie rwąc mi duszę w kawały pamięć przeszłości.

II.

Stary Dawid był kiedyś wesołym i rozkosznym chłopcem, pociechą i jedyną radością swéj matki — swéj matki mówię, gdyż ojca nie miałem, — umarł gdym liczył zaledwie dwa lata.

Kto przechodził koło domu naszego w téj wązkiéj i brudnéj uliczce, którą „linią czarownicy“ zwano a widział matkę moją, począwszy od rana aż do późnego wieczoru w nizkiem, na ziemi prawie leżącym oknie, biednego domku szyjącą, a mnie w podartych sukniach latającego wesoło po izdebce, mógłby był pomyśleć, tak biedny chłopak, a bawi się jakby niewiem jakie skarby posiadał; w biedzie bowiem jest wiele komizmu, tak samo jak w bogactwie go nie brak.

A jednak nie byliśmy nieszczęśliwi. Bóg, ojciec wszystkich wdów i sierot, zsyła pociechę, daje pracę i cierpliwość, — zdrowie, a do tego nadzieję. Mieliśmy zawsze chleb a nie żebraliśmy; czasami w wielkie święto i niedzielę matka i mięso pieczone na stół stawiała, ubiór mi nowy kupiła, który nawiasem mówiąc moi kolezkowie tego samego jeszcze dnia ze mnie zdarli, jednakże biednéj kobiecie zostawała ta pociecha, iż mogła syna swego z synkiem pana burmistrza lub aptekarza porównać, których suknie nie były nigdy łatane.

Dzielny to też był ze mnie chłopak. Żaden żart nie obył się bezemnie, żaden figiel nie został wykonany w méj nieobecności, jednem słowem byłem *mens sana in corpore sano*, jak mawiali Rzymianie. Ha! ha! ha! — Jak pomyślę o przeszłych czasach, śmiech ze łzami mie-

szają się na méj twarzy. Któżby wówczas pomyśleć mógł, iż mnie los w przyszłości takiemi straszliwemi fatalizmami nawiedzi, jakie nieraz malowane na płótnie w dzień jarmarku w młodości mojéj podziwiać mi się zdarzało.

Przypominam sobie starego nauczyciela, tak, widzę go prawie przed sobą. W całéj jego figurze przeważał wielki brzuch, który maleńkie nóżki, miały obowiązek podtrzymywać; twarz miał zawsze czerwoną i żółtawy surdut. Po południu przychodził zwykle podchmielony i bez książki do szkoły, chociaż ani przed ani po południu nic nie wykładał. W piękne dni wiosenne lub letnie wychodziliśmy za miasteczko, wtedy po cichu skradałem się i wyjmowałem książkę, bez której wiedziałem dobrze, że uczyć nie będzie. Wesoło spędzaliśmy dzień ten na łąkach i polach, a bohaterem dnia tego byłem ja. Oprócz tego nauczyłem się wielu rzeczy od pana Andrzeja Gombosa z geografii, że istnieją dwa państwa znaczniejsze: królestwo węgierskie i królestwo niebieskie, z religii: że trzeba Boga szanować a panu nauczycielowi punktualnie płacić, z historyi: że Adam i Ewa byli Węgrami, również Nebukadenezar i t. d. i t. d.

W dwunastym roku oddano mnie do tak zwanego kolegium, chcąc koniecznie wykierować mię na księdza. Była to ulubiona idea méj matki, rozmawiała o tem ze mną każdego wieczoru. Opowiadała mi, iż potem opuścimy tę brudną wązką ulicę i na wsi zamieszkamy, a domek nasz stać będzie na pagórku ocieniony lipami niedaleko kościółka. W stajni będą konie i krowy, na podwórzu zaś drób a w sklepie wino. Co niedzielę jeść będziemy placki i pieczone kurczęta, dalej, iż mi zrobi ubranie z czarnego sukna i kupi sobie jedwabny kapelusz. Mieszkańcy wioski będą nas mieli w wielkim poważaniu, kapelusze przed nami zdejmować i ręce całować nam będą. Słuchałem jéj z prawdziwą uwagą, czasami przerywałem tylko, prosząc, aby wtedy zrobiła pieróżki z powidłami i placki z rodzynkami.

Wszystko to będzie „kochane dziecko“ mówiła matka obejmując mnie, tylko ucz się pilnie, teraz zmów pacierz i połóż się, ażebyś jutro rychło wstał i powtórzył swoje lekcye. Nie mamy wprawdzie świeczki, lecz nasz sąsiad szewc, wstaje zwykle już o godzinie czwartéj, pozwoli ci się uczyć przy swéj lampce.“ Zostałem kapłanem, lecz z tą różnicą, że Szekspir był mą biblią, a zamiast szczęścia, sławy i błogosławieństwa, przekleństwo pożerającéj mnie namiętności było mym udziałem.

A wszystko to sprawiły skrzypce starego muzykanta mieszkającego w jednym z nami domu. Nie napróżno łkały tak żałośnie a ja z niemi, gdy stary muzyk wieczorem smutne na nich wygrywał melodye. Oboje opłakiwaliśmy rzewnie naszą przyszłość. Zapewne już dawno zamilkły. Czas niszczyciel współczesnego porządku rozbił je, tak jak starego Dawida, który niedługo pójdzie za niemi.

Stary muzykant był to wesoły i przyjemny człowiek. Gdy powracał z jakiego balu lub wesela, zawsze mi coś przynosił. Przywoływał mnie do siebie i kazał zgadywać w której kieszeni podarek się znajduje. Zwykle mówiłem, iż w lewéj, a on dopiero z prawéj wyciągał kawał placka lub pieczeni i z uśmiechem przypatrywał się, gdym to z wilczym prawdziwie apetytem spożywał.

Pewnego dnia wszedł wesoło do naszéj izdebki. Domyśliłem się zaraz, iż coś ważnego wydarzyć się musiało.

„Kochana pani:“ rzekł „dzisiaj sprawię waszemu synkowi małą rozrywkę. Komedyanci przyjechali do naszego miasta a ja mam grać w orkiestrze. Jeżeli Dawid poniesie mi skrzypce, to może zostać przez całe przedstawienie. No, zobaczysz chłopcze jak gębę roztworzysz, takich rzeczy jeszcze nie widziałeś, tylko mi nie zaśnij, bobym ci namalował wąsy pod nosem.“

Matka pozwoliła; gdy w wieczór nadszedł z dumą zaniosłem skrzypce za starym muzykantem. Z początku chciano mnie wyrzucić, lecz stary muzyk wstawił się za mną i kazał mi miejsce zająć zaledwie dwa kroki od sceny oddalone, na futerale basów. Dawano „Zbójców“ nieśmiertelnego Szylera, przypominam sobie najdrobniejsze szczegóły tego przedstawienia, jakby to wczoraj było. Karól Moor ukazał się w czerwonym kostiumie, Franciszek zaś cały czarno był ubrany, a stary hrabia okryty płócienną suknią. Służący teatralny przewrócił na mnie basy, nie czułem bólu, gdyż odszedłem od przytomności; osłupiałym wzrokiem patrzyłem na scenę, chociaż treści dramatu nie rozumiałem, cierpiałem porówno z Karólem a intrygowałem z Franciszkiem. Instynktowy tajemniczy płomień ogarnął mą duszę, chciałem wskoczyć na scenę i zacząć deklamować, tak jak ci pomalowani panowie, tylko z większym ogniem i śmielszemi poruszeniami, ażeby publiczność rozpływała się we łzach, śmiała się do rozpuku i szalone biła brawa. Przybywszy do domu opowiedziałem matce treść dramatu. Stary muzykant śmiał się i uszczypnął mię w policzek na pożegnanie, matka zaś cieszyła się, iż jestem tak roztropnem dzieckiem. W kolegium o niczem innem nie mówiłem, zebrałem najlepszych mych przyjaciół i przedstawiałem im cały dramat; sam grałem Franciszka, Karóla, starego Moora, Amelią i wszystkich zbojców. — Od tego czasu zostałem nazwany komedyantem, moi nauczyciele dodali do tego jeszcze tytuł próżniaka, gdyż od tego czasu zamiast się uczyć gramatyki, studyowałem role, zamiast robić wypracowania, kopiowałem dramata. Włóczyłem się po wszystkich ulicach, latałem za aktorami i aktorkami, którzy w moich oczach półbogom się równali. Często też odbierałem nagany, nierzadko policzki od nauczycieli i inne bolesne kary.

Matka moja zakazała mi chodzić do teatru, uciekałem do niego — groziła mi, nic nie pomagało, biła mnie, — którego dawniéj słowami prowadziła, lecz razy kija nie bolały mię, tylko przekonanie, iż teatr kocham więcéj niż matkę. Nic nie pomagało, przeszkody podniecały tylko chęć moją i utrwalały mię w raz powziętym zamiarze. Równałem się młodemu człowiekowi, który po raz pierwszy obejmując dziewczynę, spokój utraca. Miłość jego staje się coraz większą.

Nie uleczysz serca trującem lekarstwem. U mnie spóźnił się czas z lekarstwem, dotychczas skutków nie

czuję. Nie wypiłem jeszcze do dna kielicha rozkoszy! — Wróćcie mi scenę! Dajcie mi sztylet Otella, płaszcz Romea i miecz Koryolana! Jeszcze raz chcę być młodym, jeszcze raz szczęśliwym! — Pozwólcie mi błyszczeć, pozwólcie panować i umrzeć pod oklaskami i przekleństwem tłumu.

Matka moja z dnia na dzień była smutniejszą. Często przerywała szycie, gdyż łzy gęste spadające na płótno walały robotę. Nie śmiałem jéj pocieszać nawet, z duszy méj zniknął ów raj dziecinny, a ponura zaduma i nieugaszone pragnienie zapełniły tak dawniéj spokojny mój umysł. Spojrzyjcie na me oblicze, wyraz ów do dziś na niem zostaje, zaduma, gorycz, łzy, boleść, nie starły, nie ujęły z niego nic.

Matko moja, droga matko moja!

Smutne i łagodne twe oblicze dotąd mi stoi w pamięci. Święta ta kobieta znała życie i nie darmo wszelkiemi siłami odradzała mi wstąpienie do teatru. Łzami wzruszony, przeklinałem teatr i scenę! Gdy ją zgryzoty rzuciły na łoże boleści, widziałem nadchodzącą chwilę, w której dusza jéj do nieba ulecieć miała, przysiągłem jéj, iż więcéj o teatrze myśleć nie będę i do pracy szczerze się zabiorę.

Przeszły lata.

Matka moja pracowała usilnie, ja zaś kończyłem kollegium. Byłem młodzieńcem. Czas nadziei, westchnień, przyjaźni, miłości, szybkim zdążał krokiem. Przyjaciele moi tańczyli na zabój, robili długi; ja także używałem życia ale w inny sposób.

Wino za pieniądze sprzedają, czyste źródło bezpłatnie rozdaje swe dary — muzyce srebrne wtoruje echo, ptaszkowie leśni nigdy za śpiew swój płacić nie każą.

Nie udawałem się do towarzystwa wesołych, Szekspir i natura stanowili mi świat cały, w nich wszystkiego doczytać się było można; — nadziei, przyjaźni, miłości i szczęścia. Z dziełami wielkiego mistrza brytyjskiego zasypiałem, a pierwszy świt jutrzenki zastawał je w mych rękach. Nie podobna czytając Szekspira, nie studyować zarazem natury, są to godni siebie komentatorowie, jeden objaśnia drugiego, dwa dźwięki jednéj harmonii. Gdy w zmroku wieczornym doliny zdają się szarawą mgłą jakby niebieskim płaszczem otulone, a na horyzoncie zaledwie kilka drżących gwiazdek zabłyśnie, gdy natura cała do snu się układa, aby wypocząć, po trudach dziennych, wtedy duszę moją napełniał niezwykły jakiś niepokój, umysł mój roił dziwne postacie.

— To krwawy Juliusz Cezar dostający sił swych ostatek, to blady Cassius, kochający Romeo, szalony Otello, zbolały Hamlet i inni stawali przedemną. — Cienie ich snuły się w przejrzystem powietrzu, przybierając kolosalne postacie, głosy ich dochodziły z liści drzew. Kiedy księżyc roztoczył swe promienie i oświecił okolicę całą fosforycznym blaskiem, znikały powoli postacie owe, lecz czuć je było w powietrzu, długo, bardzo długo... Gwiazdki wykluwające się z lazurów zdawały patrzeć się zdziwione na mnie. Zasypiałem w tych marzeniach poetycznych a w czasie tym wymarzone postacie przybierały pozory rzeczywistości. Stałem na scenie, publiczność biła szalone brawa — a ja się budziłem, nie była to publiczność, lecz natura, która grzmotem zdawała się przyklaskiwać; strumyk płynął szybciéj, listki szemrały smutną jakąś piosnkę — a słońce oświecało oślepiająco me oblicze. Skały tylko z potwornemi swemi kształty zdawały mi się urągać odbijającem wciąż echem: „o czem ty marzysz szalony?!

Będę aktorem! Daléj, daléj. Dajcie mi scenę!

Postanowienie moje wzrastało z dniem każdym, napełniało mi piersi, wyrywało się z nich gwałtem; poznawałem, iż się na ciernistą wybieram pielgrzymkę, która pochłonie me całe życie. Wiedziałem, iż krokiem tym matkę zabiję, ale ratunku nie było, głowa się zawracała, tłumaczyłem sobie, iż trzeba się raz zdecydować i wyznać matce wszystko otwarcie, wmawiałem w siebie, że nie mogę poświęcić się dla niéj. Bóg wlał we mnie to uczucie, dla którego wszystko utracić musiałem i za nie mnie pewno karać nie będzie.

Wreszcie zebrałem się na odwagę, zwołałem wszystkie dobre i złe me strony ku pomocy i poszedłem do méj matki.

„Przeszło trzy dni upłynęło, jak cię nie widziałam."

„Chrystus gotował się całe tygodnie, zanim w nowy stan wstąpił."

„Nie wzywaj imienia pańskiego tak bluźnierczo. Nie jesteś bogobojnym, dziecko moje, ileż to ja dla ciebie wycierpiałam."

Ucałowałem jéj ręce.

„Nie jesteś jednakże tak złym, cóż robiłeś przez tak długi czas? Uczyłeś się, nieprawdaż? zapewne skończysz prędko twe nauki? Późniéj udamy się na wieś. Dostaniesz posadę, wyszukam ci żonę, kochającą cię. Weźmiemy ją ze wsi, wiedz bowiem, że mnie ojciec twój także wziął ztamtąd.

Nie mogłem przemówić.

„Dla czegóż jesteś tak smutnym? czy nie możesz dostać żadnéj posady? Źle, bardzo źle mój synu. Nie mogę już wiele pracować, gdyż codziennie jestem słabszą. Nie bój się jednakże, wszystko będzie dobrze. Ten, który ptaszki w powietrzu żywi i lilie na polu odziewa — będzie o nas pamiętał."

„Matko — jutro odchodzę."

„Dokąd mój synu? czyś może dostał jakie miejsce? jak to dobrze jak pięknie, zarobisz sobie dużo pieniędzy, ja dołożę co mam i tak będziemy żyli."

„Będę aktorem matko!" krzyknąłem, zbierając wszystkie siły.

„Aktorem? komedyantem? Wydrapię ci oczy, wyrwę ci język z gardła — zaduszę cię, na to cię wychowałam i własném mlekiem wykarmiła, ażebyś wyrósł na ladaco, włóczęgę, człowieka bez wiary i czci! — Ojciec twój był ze strony matki szlachcicem, ja córką urzędnika, a ty — komedyantem, komedyantem! — Mój Boże nie wódź mnie na pokuszenie, odepchnę cię, odrzucę od siebie."

„W jednym roku zostanę sławnym człowiekiem, a wtedy sławę moją i majątek złożę u nóg twoich mateczko.“

„Czyś rozum postradał — piękna to przyszłość. Występować na małych teatrzykach w błazeńskich ubiorach ku uciesze i zabawie kilku głupich studentów. Mówisz o bogactwie, czyś widział kiedy aktora, któryby nie był głodnym, odartym, podobnym do tego, który oderwał się od szubienicy. Komedyant, komedyant! — O! czegom się dożyć musiała, czemuż nie udusiłam cię jak byłeś małym!“

„Matko, kochana matko!“ rzekłem rozżalony i kilka minut czułem jakąś głęboką odrazę i nienawiść ku niéj — matka moja bólem przewyciężona, rzuciła się na mnie, objęła mię, całowała, płacząc serdecznie.

„O mój ty kochany, drogi synku? mój gołąbku! Jak pięknym i dobrym jesteś. Powiedz mi co cię boli. Pozwól mi ucałować siebie! Wszak jesteś dobrym synem i nie opuścisz swéj matki, nieprawdaż? Wszak kochasz mnie?

„Tak kochana matko“ rzekłem, jéj gwałtowne uściśnienia biorąc za znak przyzwolenia. „Będę cię co drugi miesiąc odwiedzał, późniéj wezmę cię do siebie i nie rozdzielimy się już nigdy. O jedno cię tylko proszę — daj mi dwieście z tych pięciuset złotych, które po bracie twym odziedziczyłaś, w taki sposób mogę mą karyerę daleko korzystniéj rozpocząć. Po trzech miesiącach oddam ci je, chociażby mi je użebrać przyszło. Nie prawda, wszak nie odmówisz méj prośbie?

Matka moja zdawała się nie wiedzieć o czem mówię — spojrzenia jéj śledziły każde poruszenia ust moich — nagle porwała się szybko i rzuciła się na kozetkę.

„Idź precz, — złamanego grosza odemnie nie dostaniesz!

„Daj mi chociaż sto złotych!“

„Idź precz, mówię ci!“

„Daj mi dziesięć!“

„Gdybyś miał z głodu umrzeć, nie dam!“

„To daj mi chociaż jeden złoty“, rzekłem, uśmiechając się boleśnie.

„Nie mam wcale dziecka.“

„Nie odmów mi przynajmniéj błogosławieństwa swego.“

„Weź przekleństwo moje na drogę!“ rzekła podnosząc rękę w górę i stojąc nieporuszona, jak marmurowa statua.

Wyszedłem.

(C. d. n.)

JAKÓB DE TRÉVANNES.

przekład z francuskiego

F. W.

(Ciąg dalszy).

TRZECIA CZĘŚĆ.

XII.

Aurora uszczęśliwiona zamieszkała u Reginy. Jakób pojechał na miesiąc do Szaffuzy, aby ostatecznie urządzić swoje interesa, poczem miał złączyć się z nią w Paryżu, dokąd go powoływało założenie nowego towarzystwa, w celu rozgałęzienia przedsiębiorstwa.

Wtajemniczona jako trzecia osoba w szczęście swéj przyjaciółki, pani Berthoret przyjęła Aurorę ze zwykłą serdecznością. Powiernica téj ukrytéj miłości, nie wątpiła nigdy o szczęśliwem zakończeniu tejże. Charakter Jakóba okazywał dostatecznie stałość, a postanowienie utrzymania się z własnéj pracy, było jednem z tych silnych postanowień, od których człowiek z energią ani przez zwątpienie, ani przez słabość nie odchodzi. Przez całą zimę Aurora zmuszoną była należeć do Reginy i przybrać z konieczności swobodny i lekki ton jéj życia. Przez miłość do Jakoba wprawiała się nieznacznie w to eleganckie wzięcie, którem dotąd pogardzała. Przypomniała sobie Glycines i wdzięczny układ Genowefy. „Jest się ładną gdy się nią chce być,“ powiedziała pewna rozumna kobieta. Dobra wola Aurory nie potrzebowała zbytecznie się wysilać.

Ryszard bywał często w domu Reginy. Pod marzącą nieśmiałością spahisa, przebiegła światowa dama, wkrótce odgadła zakochanego, śmiała się z téj miłości wspólnie z Aurorą, ciągle jeszcze trochę niespokojną, z powodu téj natrętnéj sympatyi.

Chociaż długiemi były dni oczekiwania, Aurora pośród światowego życia, którego jednostajność i próżnią znosiła na widok czczych przyjemności, czuła się dumną myślami, przepełniającemi jéj duszę. W zetknięciu się z próżniakami oblegającemi salony, myślała o Jakóbie, a porównując ich wydawał jéj się tem wyższym. Z Ryszardem mówiła o Glycines, o Urszuli, Genowefie, wypytując się o wszystko z nienasyconą ciekawością, od któréj nie mogła się uchronić. Powtarzał jéj wiernie to co wiedział. Nakoniec list Jakóba oznajmił jego przyjazd. Zaledwie przybył do pałacu pani Berthoret, Regina zamknęła wstęp dla obcych i wieczór zeszedł na samych tylko projektach. Jakób radził się Aurory wydającéj naturalnie decyzye. Wolni w obec siebie, swobodni, jednę część zimy mieli widywać się w Paryżu i doczekać dnia ślubu, bez obawy rozłączenia się i niepokojów. Naj-

ważniejszy ten punkt załatwiwszy, mówił o swoich interesach wspominając, że zyski z kopalni przenoszą wszelkie oczekiwania i że jest na śladzie odkrycia nowych pokładów.

Pan de Rioux rad był przyjacielowi z zamku Roc. Na wpół wtajemniczony w ich miłość, lubo tego nie pokazywał, w jego zachowaniu się względem Jakóba przebijała szczególna sympatya, będąca odblaskiem ojcowskiego ku Aurorze przywiązania.

Jakób zobaczył się z Ryszardem najmniejszą zmianę nie okazując, aby przyjaźń ich miała być czemkolwiek zakłóconą.

Spotkał u Reginy kilka przyjaciółek żony, jedna z nich zapytała go o Genowefę:

— Pani de Trévannes jest w Szwajcaryi u mego ojca, odpowiedział. Wyrzekł to z taką swobodą, że Aurora nie mogła się powstrzymać, aby mu uścisnąć rękę. Przeszłość już nie istniała.

Zdecydowany nie powracać do pałacu Fourchamps, Jakób był o tyle szczęśliwym, że jeden z jego przyjaciół młody inżynier, wyjeżdżając w daleką podróż ofiarował mu swoje mięszkanie. Pewnego poranku Regina z ciekawości zaproponowała Aurorze, zajrzeć do dawnego ich pustelnika, tym sposobem miały przypomnieć mu niespodziankę w Roc zrobioną. Poszły ochoczo.

Ulica Assas jest pusta i cicha Jakób zajmował tam drugie piętro domu, wychodzącego na ogród luksemburgski. Obiedwie kobiety wbiegły szybko na wschody i zadzwoniły bez wahania.

Sam im otworzył. Zdziwiona jego mina wywołała podwójny wybuch śmiechu.

— Tak, to my! rzekła Regina, ale tym razem nie potrzebujemy się tłómaczyć. . .

Pokoje umeblowane były bardzo starannie, zwłaszcza pokój do pracy był zachwycający. Otwarty z wielkich drzew taras tworzył kwiaciarnią, za pomocą okna ukrytego pomiędzy krzewami i kwiatami. Podczas kiedy przewracały książki i manuskrypta rozłożone na szerokim stole, zajmującym pierwsze miejsce w pracowni, Jakób układał dla nich bukiety.

W kilka dni Aurora powtórzyła sama tę miłą wycieczkę; powoli nawykła częściéj do odwiedzania go. Co dzień prawie rano przychodziła w sekrecie, osłoniona koronką i zasiadali wspólnie do pracy; on do rysowania technicznych planów, ona do swéj kanwy. Jadali wspólnie śniadanie i nie rozłączali się jak wieczorem, z obopólnem żalem nad szybkim biegiem zegara i pragnieniem jutra. Chwilami zapominając o pracy przerywali ją, aby porozmawiać z sobą. On opowiadał jéj o zadziwiających zagadkach rozwiązanych przez ludzkość z tą szczytną wytrwałością, na którą składały się wieki i pośród tych poważnych kwestyi sięgających często wyżyn najgłębszéj filozofii, przestawał mówić, aby wpiąć kwiatek w jéj włosy. Często też ze studencką swawolą pozwalali sobie małych wybryków, już to spacerując po mało uczęszczanym luksemburgskim ogrodzie, który Aurora nazywała swym parkiem; już to używając przejażdżki po mieście. Niekiedy także, a było to wtedy wielką uroczystością, towarzyszył jéj do opery, do loży Reginy.

Opanowani miłością silniejszą nad wszystko, posuwali się niekiedy aż do nieroztropności. Pewnego dnia na wieczorze u Reginy, pan de Rioux ostrzegł po cichu Aurorę.

— Strzeż się moje dziecko, rzekł, dobrze jest kochać się, ale nie trzeba tego zanadto pokazywać! — Jesteście oboje szaleni!

XIII.

Tak ubiegło kilka miesięcy, kiedy list nadeszły z Glycines oznajmił Jakóbowi o szczęśliwem rozwiązaniu Genowefy. Miał syna. Urszula kończyła list prosząc go, aby przyjeżdżał. Odpisał, iż zajęcia jego nie pozwalają mu oddalić się z Paryża. Aurora odetchnęła. Wiadomość ta była końcem ich próby; kilka tygodni jeszcze a Jakób byłby wolnym. Lecz pewne zdarzenie spowodowało wkrótce do odkrycia niebezpieczeństwa, o którem zupełnie zapomnieli.

Licząc na ostrożność którą zachowywali, odważali się niekiedy chodzić sami do teatru. Pewnego wieczoru gdy po skończonéj sztuce spiesznie wychodzili, spotkali się oko w oko z Ryszardem. Zdziwiony takiem spotkaniem spahis wahał się z oddaniem im ukłonu, ale byli za blisko, aby wzajemnie ominąć się mogli.

— Ach to ty!... rzekł żywo Jakób, pani Berthorét będąc trochę cierpiącą, zostawiła nas samych w teatrze polecając mi, abym odprowadził panią de Ploëven.

— Sztuka była tak interesująca, że nie mogłam od niéj przed końcem się oderwać, dodała Aurora.

Zamieniwszy te kilka słów rozeszli się, podawszy sobie ręce.

Nazajutrz kiedy na wieczorze u Reginy Aurora rozmawiała z Jakóbem, zdawało jej się, że Ryszard obserwuje ją z niepokojem. Niezwykły smutek malował się na jego twarzy, jakby go ukryta jakaś boleść nurtowała. Zdawało jéj się czytać w jego oczach podejrzenie, zazdrość może; ogarnęła ją trwoga. Wieczór zeszedł jednakże bez usprawiedliwienia jéj obaw; przy pożegnaniu Ryszard zbliżywszy się do niéj, rzekł.

— Mam do pani prośbę, czy pani chcesz być tyle uprzejmą nie odmówić mi takowéj?

— Mój Boże! pan mnie przestrasza, odpowiedziała z uśmiechem, chcąc pokryć zakłopotanie; sądząc z poważnéj miny pana, możnaby myśleć, że zaszło jakie nieszczęście.

— Nie, odparł ale potrzebuję odwagi, aby panią poprosić o łaskę, któréj od niéj śmiem się domagać.

— A więc przedłóż mi pan swoje żądanie, przestaniesz prędzéj się obawiać.

— Chciałem panią prosić o chwilkę rozmowy jutro.

— Rozmowy?... alеż pan jeszcze więcéj mnie przestraszasz.

— Na seryo, chodzi tu o dobry uczynek godny pani i jéj serca. Nie odmówisz mi pani?

(D. c. n.)

Redaktor Tadeusz Kamieński w Poznaniu. — Nakładem i drukiem N. Kamieńskiego i Sp. w Poznaniu.